

KSIĘGA PAMIĄTKOWA WIELKIEJ WOJNY!

Dzieło to, wydane pod skromną nazwą **Kalendarza „Nowości Illustrowanych“ na rok 1916**, zawiera **illustrowany zbiór dokumentów obecnej wojny i jej dziejów na ziemiach Polski**. Oprócz opracowanej systematycznie historii wydarzeń wojennych (wraz z chronologią), poszczególne działy „Kalendarza“ dają tak w opisach, jak i w fotografiach, wyczerpujący **obraz zniszczenia w Polsce, polskiego tułactwa wojennego i działalności bojowej Legionów**.

Cena tego pamiątkowego wydawnictwa, które powinno znaleźć się w każdym domu polskim, wynosi:

1 kor. 50 h. za egzemplarz broszurowany, **2 kor.** za egzemplarz oprawny i **3 kor.** za egzemplarz w płóciennnej, ozdobnej oprawie.

Kronika tygodniowa.

I ani się spostrzegłem, a tu minęła już pierwsza połowa postu. Ponieważ przez cały ten czas wstrzymywałem się od jedzenia, a częściowo i od picia, czyli obserwowałem przepisy kościelne i magistrackie, mogę powiedzieć o sobie słowami poety „opadłem z ciała, cały ledwie dyszę“. Aby się o tem namacalnie przekonać, wybrałem się na dworzec kolejowy, gdzie się znajduje waga automatyczna i tu ku wielkiemu memu przerażeniu skonstatowałem, iż jestem tak lekki, że skazówka na zegarze wagowym ani drgnie, dopóki do odpowiedniej dziurki nie wrzucę trzech centów.

Wrzuciłem, choć mi żal było, bo teraz trudno o drobne się wystarać, nie mówiąc już o grubych i dowiedziałem się, że w tym okresie straciłem około dwadzieścia kilogramów żywej wagi, co obliczone według cennika pana Bialika lub Kurkiewicza, przedstawia bardzo poważną kwotę, o którą czuję się być pokrzywdzonym i po skończeniu szczęśliwym wojny żądam za to odpowiedniego odszkodowania. Tak samo radzę postąpić każdemu z Czytelników. Trzeba się jednak spieszyć, według bowiem informacji, jakie otrzymałem na własnym drucie z różnych stron Europy, pokój zbliża się już wielkimi krokami.

Nie jest przecież wykluczonem, iż tymczasem będę się starał wrócić do normalnej wagi, choć Weronisia powiada, że teraz wyglądam więcej eterycznie, więc i interesująco. Zwłaszcza zabiły mi do głowy klina święta Wielkanocne, które są przeznaczone na to, by przeciwnie obywatel objadł i opił się należycie i to możliwie nie za swoje pieniądze. Ponieważ zaś takie gwałtowne przeładowanie żołądka po wielkim a rzetelnie przeprowadzonym poście mogłoby być dla zdrowia szkodliwym, zaczynam się powoli trenować w tym kierunku, to jest zrywam z głodomorstwem i znów to samo radzę robić Czytelnikom, którzy te święta chcą należycie obchodzić.

Jeśli by, który z Czytelników lub która z Czytelniczek chcieli mnie (w co nie wątpię) zaprosić na święcone, proszę o wczesne składanie ofert, należałoby bowiem tak swój czas podzielić, by nikogo nie obrazić i każdemu zaproszeniu zadość uczynić. Ja do siebie nie proszę nikogo, gdyż zmuszony byłem okolicznościami do daleko idących oszczędności w budżecie domowym, wobec czego staropolska gościnność musi w tym roku pójść na kołek.

Tyle jest słów przeznaczonych jako wstęp do tej śródpostnej kroniki, teraz muszę przystąpić do właściwej rzeczy, to jest do omówienia związku między wojną i modami, na czym się wprawdzie nie znam, ale o czym pisać mogę, gdyż papier jest cierpliwy, a i Czytelnicy także.

Pięci nadobnej należy się pierwsze miejsce, zaczynam więc od dam.

Wyczytałem w jednym bardzo poważnym organie, którego egzemplarz kupuję codziennie rano za ośm halerzy, by wiedzieć, co słychać w szerokim świecie, iż pewien komendant któregoś tam korpusu niemieckiego wydał odezwę do pań w swym okręgu, wzywając je, by się wystrzegały sprawiania sobie szerokich i bufiastych sukien, co zaś w ten sposób oszczędzą, by obracały na cele ogólnej potrzeby. Głos ten uważam za bardzo na miejscu i powtó rzylbym go pod adresem naszych pań, gdybym jednak wiedział, że się to zda na coś. Po pierwsze bowiem żadna mnie usłuchać nie zechce, gdyż już prababka nasza, Ewa, dała dowód, że zakazany owoc najlepiej smakuje, po drugie zaś wiemy z doświadczenia własnego, iż suknia damska, taka, co to u góry jest mało, u dołu jeszcze mniej, a i w środku niewiele, kosztuje właśnie najwięcej. Doszło przecież do tego, że dziś kompletnie gotową damską toaletę można bardzo wygodnie zapakować do zwykłej koperty listowej, cena zaś za nią jest daleko wyższą, niż za największej rozpiętości s. p. krynoliny, w której dziś przez niejedną z krakowskich ulic przejść w żaden sposób by się nie udało.

Ja zaproponowałbym co innego, mianowicie wprowadzenie i tutaj taryfy maksymalnej, na podstawie której za kapelusz damski lub suknię, albo jakieś inne okrycie, możnaby zapłacić najwyżej tyle a tyle, kto zaś taryfy nie przestrzega, pociągniętym zostaje do odpowiedzialności. Suknia ulega konfiskacie, ponadto zaś winny lub winna skazaną będzie na złożenie takiej samej kwoty w gotówce na rzecz ofiar wojny. Dwukrotne przekroczenie taryfy wykluczałoby nadto winowajczynię od możliwości korzystania z tegorocznej mody, co, jestem pewnym, miałoby ten skutek, iż nasze panie przestałyby bodaj we wojennym czasie wydawać bająskie sumy na różne fatalaszki, zwłaszcza, że pieniądze za nie nie zostają w kraju, ale wędrują za granicę i wypychają i tak już pełne kieszenie naszych wrogów.

Czy projekt mój się przyjmie, czy nie (w każdym razie wiem, że się paniom nie spodoba!), zrobiłem swoje i lżej mi wobec tego na sercu. Weronisie już przekonałem, że w sukni z tamtego roku (sprawiła ją sobie przed pięciu laty) jest jej i z przodu i z tyłu zupełnie do twarzy, dała mi też spokój i nie upomina się o nowy kostium wiosenny, choć do niedawna tylko o nim mówiła, a nawet i śniła.

Wytłumaczyłem jej, że „sen mara, Bóg wiara“, a sam Pan Bóg gniewa się, gdy kobieta zanadto zaprzęta sobie głowę wymysłami mody, jak to mieliśmy sposobność przekonać się na Ewie, którą z raju wywakuowano, gdy zamiast zająć się gospodarstwem domowym, zaczęła przymierzać różne listki i przyglądać się w zwierciadle wody, czy jej w nich do twarzy. Los jej podzielił i Adam, jako że był zeń pantofel, który żonie na wszystko pozwalał.

Niechaj więc każda niewiasta los swej prababki Ewy ma ciągle na myśli, a uchroni ją to od wielu nieprzyjemności, z nią zaś razem i tych, którzy jej sercu powinni być drodzy.

Teraz zaś kolej na pleć tak zwaną brzydką.

Dawniej bardzo ulubionem nakryciem głowy największych elegantów był cylinder, zwany inaczej rurą lub szabaśnikiem. Dziś wyszedł już prawie zupełnie z mody, noszą go na swych głowach tylko ci, którzy otrzymali go po kimś w spadku, dość często spotykamy go też i na Kaźmierzu, którego obywatele wiedzą, co dobre i praktyczne i umieją to należycie ocenić.

Otóż temu to cylindrowi, który dziś stracił swe prawo obywatelstwa, choć na to nie zasłużył, boć nawet i po swem najdłuższemu życiu mógł być jeszcze użyty bodajby w spiżarni, wypełnionej sieczką, jako doskonały schowek na jaja, pragnę poświęcić słów kilkoro.

I znów musimy się przenieść myślą do Niemiec, gdzie cylindry również prawie poszły w zapomnienie. Tu jeno i ówdzie zdobią głowy starszych osobników, pamiętających jeszcze krynoliny, albowiem wiedzieć trzeba, że właśnie okres królowania cylindra schodził się z czasem największego rozkwitu tej tak higienicznej, choć może nie tak ładnej sukni.

W jednym z miast niemieckich zauważono w tym właśnie czasie, że moda cylindrowa zaczyna wracać i to tak pospiesznym krokiem, iż zdziwiło to niejednego i niejedną. W cylindrach zaczęli się pokazywać mieszczanie, w cylindrach chodzili i wieśniacy z gmin okolicznych. Zdawało się, że ludzie siłą się nadać im jak najpotworniejsze kształty, o jakich się nawet pradziadkom naszym nie śniło, a wiadomo, że ich cylindry przypominały nieraz kominy fabryczne.

Ale sztydło wyłaziło z worka prędzej nawet, niż się spodziewano.

Zdarzyło się raz, że pewnemu jegomości spadł cylinder... I cóż się pokazało?... Wewnątrz kryła się

kontrabanda, to jest masło, które bez opłaty przenosił przez rogatki miejskie! Połapano się po niewczasie i rozpoczęła się nagonka za cylindrowcami... Władza zrozumiała, skąd się wzięła nowa moda i rzuciła klątwę na cylinder, który znowu powędrował gdzieś do szafy, by czekać na lepsze czasy.

Cylindrowi to przecież nie ubliża, owszem w jego historii stanowić będzie jedną z piękniejszych kartek i może zachęci ludność i innych miast do wprowadzenia znowu tego poważnego nakrycia głowy, choć władze, zwłaszcza skarbowe, na cylinder pa trzeć będą teraz podejrziwym wzrokiem, wietrzając pod nim kontrabandę. Ale niech to cylindrowców nie zraża! Gdzież kontrabanda się już nie kryła?... Wszak przez graniczne rogatki przenosił ją ongi panie w swych turniurach, a kto wie, czy z czasem i ta moda nie wróci?

Zważywszy zaś, że cylinder stosunkowo nie jest drogi, wygląda bardzo poważnie na głowie obywatela, choćby on nawet nie miał kamienicy, nie ulega zbytnio wahanom mody i łatwo daje się doprowadzić do stanu świeżości, orzec można bez wahania, że na obecne czasy jest to bardzo praktyczna rzecz i warto do niej wrócić, choćby już tylko ze względu na aprowizację miasta. Będą cię tam celnicy przesładować, to mniejsza, cylinder odda nieocenione przysługi i zdobędzie sobie, właśnie dzięki wojnie, to znaczenie, jakie miał, ale już stracił. Kto wie, czy i ja sam nie zaciągnę się pod sztandary cylindrowców, dla miłości jednak samego cylindra, a nie ukrytej pod nim kontrabandy.

Bo i cóż mógłbym pod nim szwarcować? Masła w każdym razie nie, roztopiłoby się bowiem od gorąca, jakie bije z mej łysiny.

Do mody zaliczyć muszę także i to, co następuje. Onegdaj jadę sobie powoli tramwajem, obok mnie siedzą dwie panie, paplą po francusku i spoglądają z góry na „hołotę“, bacznie uważając, czy też to robi na niej wrażenie. Myślałem w pierwszej chwili, że może obie z nich, albo bodaj jedna jest Francuzką i po polsku nie umie, z rozmowy ich jednak z konduktorką przekonałem się, że obie są rodowitami Polkami. po polsku mówią stanowczo lepiej, niż po francusku, a francuszczyzny używają tylko dla nadania sobie tonu.

Żal mi się ich zrobiło, chciałem zwrócić ich uwagę na to, że mowa ojczysta jest największym skarbem, dałem sobie jednak spokój, pomyślałem tylko: „Przebac im Panie, albowiem nie wiedzą, co czynią!“... Głupców siac nie trzeba, rodzą się sami — powiedziać ktoś i miał rację. Dama, używająca bardzo lichej francuszczyzny dla nadania sobie tonu, wywołuje na usta słuchającego tylko uśmiech politowania i nic więcej, co zaś najważniejsze, w czasie wojny z Francuzami może się narazić na grube nieprzyjemności.

Nie tak dawno temu do wozu tramwajowego siadła też taka domorośla Francuzka, która tak gwałtownie chciała naśladować rodowitą Paryżankę i tak się mozoliła nad złem wymawianiem litery „r“, iż zlitował się nad nią jej sąsiad i rzekł z flegmą: — Wypluj pani, bo się pani tem „r“ może łatwo udławić!...

Spojrzała nań okiem bazyliuszka i nie odpowiedziała nic, odtąd używała przecież tylko polskiego języka, ale z trochę wschodnim akcentem.

Niechaj tych kilka słów będzie ostrzeżeniem dla niektórych osobników, które samochęc tylko się ośmieszają i stanowią żywą ilustrację do słów poety: „Pawiem narodów bylaś i papugą“.

A byłby już czas, by z tego nareszcie wyrósł!

Mieliśmy też w tym czasokresie i dzień pierwszego kwietnia, czyli tak zwanego zwodziciela. Dawniej, gdy ludzie przez cały rok mówili prawdę, a łgali tylko w tym jedynym dniu, miał *Prima Aprilis* swój urok. Dziś zmieniło się o tyle, że przez rok cały nikt się o prawdę nie troszczy, w oczy mówi co innego, co innego zaś poza oczyma, obgaduje bliźniego, nie zostawiając na nim suchej nitki, na każdym kroku starając się wziąć go na kawał, czyli, że przez dni trzysta sześćdziesiąt pięć lub sześć w roku mamy *Prima Aprilis*.

Wyjątkowo w r.b. otrzymałem tylko jeden list *prima-aprilisowy* i to od jakiejś niewiasty. skąd zaś nie wiem, marka nosi bowiem stampilię „Feldpost Nr. 186“. Pokpiwa sobie w nim ze mnie, ale ja jej przebaczam, albowiem „nie wie, co czyni“.

Kalodent

Krem do zębów

90 halerzy.